TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR, CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........ $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Połedniowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 5. Chicago, Ill., Czwartek, 3-go Lutego, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Wiele tajemniczych rzeczy dowiadywała się Onufrowa przez kabały i nigdy się nie myliła. Księciu Pelepniewowi, gdy ten wzniósł się już bardzo wysoko, przepowiedziała, że umrze śmiercią głodową. I tak się też stało. Wiele lat przeszło od tego czasu, ale nie wywietrzała jeszcze z pamięci starców ta przepowiednia.

Teraz kończył się już Onufrowej dziesiąty krzyżyk: skurczyła się prawie we dwoje; skóra na twarzy, pokryta szeregami zmarszczek, podobną była do drzewnej kory; i podobnie, jak stara kora porasta mchem, twarz Onufrowej porastała siwemi włosami. Zębów już dawno nie miała; oczami, zdawało się, że nic widzieć nie może, a głową konwulsyjnie kręciła.

Onufrowa wspierała się ręką kościstą o kostur. Długo patrzała na Jana ruszając zżółkłemi wargami, jakby coś żuła lub mruczała.

— Co? — przemówiła w końcu mamka głuchym, jakby głucho jęczącym głosem — modlisz się Jasiu? Módl się, Iwanie Wasiljewiczu, dużo się jeszcze musisz odmodlić! Żeby choć jedne stare grzechy ciążyły na twej duszy! Ale co dzień to przecież nowy masz grzech, a niekiedy i dwóch i trzech za mało!

— Dosyć, Onufrowo — rzekł wstając car — sama nie wiesz, co mówisz.

— Nie wiem, co mówię! Albożja rozum

swój przeżyłam, sama nie wiesz, co mówisz!"

I martwe oczy starej wnet się zaiskrzyły.

— A coś dzisiaj przy obiedzie zrobił? Za co otrułeś bojara? Tyś myślał, że ja o tem nie wiem. Co? czego brwi marszczysz? Poczekaj, jak wybije twoja ostatnia godzina. dzina. Poczekaj tylko! Powieszą się na tobie grzechy twoje; pociągną cię na dno piekielne! A djabły przyskoczą i złapią cię na haki!

Stara znów zaczęła żuć zapamiętale.

Gorąca modlitwa przysposobiła cara do nabożnych myśli. Nie raz przedstawiał sobie sąd ostateczny, ale dzikość charakteru przemagała strach w obec mąk piekielnych. Iwan starał się uspokoić tem, że strach i zgryzoty sumienia wzbudza w nim nieprzyjaciel rodu ludzkiego, chcąc go, pomazańca boskiego, odciągnąć od wielkiego dzieła, które dopiero rozpoczynał na tym świecie. Od kuszenia czarta bronił się car modlitwą, lecz często i w niej nie mógł znaleźć spokoju. Wtedy opanowywała go rozpacz szalona; wszystkie jego podłości, mordy stawały mu przed oczami, a niewinne ofiary błagały Boga o straszną karę dla swego kata. Wtedy to widział car Jan pod sobą straszną otchłań piekielną. Ale to trwało nie długo; sam potem śmiał się ze swej głupoty. Nie pomny gniewu na siebie samego i na ducha ciemności, znowuż na złość piekłu i na przekór sumieniu brał się do dzieła wielkiego zniszczenia i nigdy okrucieństwo jego nie sięgało takiego wysokiego stopnia, jak po owem chwilowem odrętwieniu. Teraz myśl o piekle, ożywiona zbliżającą się burzą i proroczym głosem Onufrowej, przejęła go na wskroś zimnym dreszczem. Siadł na pościeli; zęby mu dzwoniły jedne o drugie.

— No, cóż, batiuszka — rzekła Onufrowa — zasłabłeś? Widać, zasłabłeś. Nastraszyłam cię. Ale pociesz się, choć wielkie są grzechy twoje, ale litość Boska jeszcze większa. Tylko uderz się w piersi, żałuj za grzechy i popraw się. I ja modlę się, modlę się za ciebie dniem i nocą, a teraz jeszcze więcej będę się modliła. Co tu mówić! Lepiej że sama nie będę w niebie, ale ciebie odmodlę za to.

Jan wejrzał na mamkę. Stara się niby uśmiechała, ale strasznym był nawet uśmiech na jej surowej twarzy.

— Bóg zapłać, Onufrowo. Bóg zapłać. Lepiej mi. Idź sobie z Bogiem!

— Oho — i lepiej! jak ci dać nadzieję to i strach ucieknie; już i wypędzać mnie myśli, "idź sobie z Bogiem." Ale i Bogu się w końcu cierpliwość przebierze. Ty na to, batiuszka, nie licz. Dla ciebie i u niego cierpliwości zabraknie. Wyrzeknie się ciebie, zobaczysz, a szatan się ucieszy i łap! — capnie cię. — Ale ot masz! Znów drżeć zaczął! Nie zaszkodziłoby ci się ziółek napić. Wypij, batiuszka: wypij. I ojciec twój, wieczne odpocznienie daj mu Panie, nieraz ziółka pijał na noc i matka twoja, spokój jej duszy, pijała także. Do ziółek też truciznę jej wleli przeklęci Szujscy!

Oczy starej przyćmiły się i poczęła znów żuć wargami, bez przerwy kiwając głową, zdawało się, że wpadła w stan zupełnego odrętwienia.

Wtem coś stuknęło w okno. Iwan Wasiljewicz zadrżał.

Stara przeżegnała się drżącą ręką.

— Widzisz — powiedziała — deszcz lunął. I błyskać się zaczyna. A oto i grzmot, batiuszka; zlituj się nad nami, Boże!

Burza coraz to się zwiększała i od ciągłej błyskawicy niebo zdawało się być w ogniu. Nieustające grzmoty łączyły się w jeden huk okropny. Car Iwan Wasiljewicz drżał przy każdem uderzeniu pioruna.

— Widzisz, jakie masz dreszcze, batiuszka; poczekaj trochę, ja ci ziółek zgotuję.

— Nie potrzeba, Onufrowo, zdrów jestem.

— Zdrów! Ale i do siebie nie jesteś podobnym. Połóż się i nakryj kołdrą. A co też to u ciebie za posłanie! — deski gołe! Carska to pościel? Przystoi to zakonnikowi, a tyś nie zakonnik przecie.

Jan nic nie mówił. W coś się wsłuchiwał.

— Onufrowo — powiedział nagle w strachu — kto tam po korytarzu chodzi? Słyszę czyjeś kroki.

— Pan Jezus z tobą, batiuszka! ktoby teraz chodził? zdaje ci się.

— Idzie, idzie ktoś. . .! idzie tutaj! . . Patrz, Onufrowa!

Stara otworzyła drzwi. Zimny wiatr wionął do izby. Za drzwiami stał Maluta.

— Kto to? — spytał car.

— A któż jak nie twój rudy pies — odpowiedziała mamka, patrząc złośliwie na Malutę, — Gryszka Skuratow, widzisz jak cię przeklęty nastraszył!

— Łukjanyczu — powiedział car ucieszony z przybycia Maluty — wejdź! — Zkąd idziesz?

— Z więzienia, carze; byłem przy torturach, klucze przyniosłem.

— Klucze — zamruczała stara. — Oj, szatanie, przypieką cię na tamtym świecie rozpalonemi kluczami! Szatanie rudy! I twarz twoja szatańska! Nie minie cię ogień wieczny, będziesz lizał, Gryszka, żelazo rozpalone, za wszystkie twoje podłości! Będziesz kipiał w smole! wspomnisz sobie moje słowo.

Błyskawica oświetliła grożącą starą mamkę; straszną była z podniesionym do góry kosturem i z błyszczącemi oczami.

Sam Maluta trochę stchórzył, ale Janowi dodało odwagi przybycie ulubieńca.

— Nie słuchaj jej, Maluto — powiedział — rób swoje, nie uważaj na babę. A ty, stara paplo, wynoś się, zostaw nas samych.

Oczy Onufrowej zaiskrzyły się jeszcze ogniściej.

— Stara paplo — powtórzyła — ja stara papla? Wspomnicie mnie obydwaj na tamtym świecie. Wszyscy twoi zausznicy, Jasiu, wszyscy otrzymają nagrodę, jeszcze za życia otrzymają i Griaznoj i Basmanow i Wiaziemskij; każdy z nich tu jeszcze odpokutuje, a ten — mówiła dalej, wskazując kosturem na Malutę — ten za życia nie będzie karanym, dla niego nie ma męki na tym świecie; męki jego są na dnie piekielnem, tam miejsce dla niego już jest przytowane, czekają nań djabły i cieszą się. I dla ciebie Jasiu jest tam miejsce, wielkie ciepłe miejsce!

Stara wyszła szurając nogami i uderzając kosturem o ziemię.

Jan był blady. Maluta nie mówił ani słowa. Milczenie to trwało dość długo.

— Cóż, Łukjanyczu — rzekł w końcu car — przyznają się Kołaczewy do winy?

— Nie jeszcze, carze. Ale mi się przyznają; o! przyznają, ani zająkną!

Jan pytał o wszystkie szczegóły tortur.

Rozmowa Kołaczewych dała zupełnie inny obrót jego myślom. Zdawało mu się, że może zasnąć. Odprawiwszy Malutę, położył się na łóżku i wpadł w stan zupełnego odrętwienia.

Nagle wzbudziło go jakby jakieś wstrząśnienie.

Lampki, wiszące przed świętemi obrazami, słabe rzucały światło na izbę. Promień księżyca, wdzierając się przez nizkie okno, igrał na malowanych kaflach pieca. Za piecem świerszcz wydawał jakiś dziki głos. Mysz gryzła w kącie drzewo.

Wśród tej ciszy znów zrobiło się strasznie Iwanowi Wasiljewiczowi.

W tem przywidziało mu się, że się podnosi deska od podłogi a z pod niej wychodzi otruty bojar. Takie widzenia miewał Iwan nieraz. Przypisywał je zawsze opętaniu djabła. Dla odpędzenia strachu przeżegnał się.

Ale widzenie nie znikło jak się zdarzało dawniej. Martwy bojar wciąż z podełba patrzał na Jana. Oczy starca były tak samo wyłupione, twarz taka sina jak przy obiedzie, gdy wypił przysłaną przez Jana truciznę.

“Znów strachy”, pomyślał car, “ale nie poddam się opętaniu djabła. Zniweczę sztukę djabelską! Niech zmartwychwstanie Pan, a zginą nieprzyjacioły jego!”

Zmarły powoli wyciągnął się z pod podłogi i przyszedł do Jana.

Car chciał krzyczeć, ale nie mógł. Dech mu zamarł, a w uszach strasznie dzwoniło.

Trup nachylił się przed Janem.

— Bądź pozdrowiony, Iwanie — wymówił głuchy, nieludzki głos — oto ja dziękuję, żeś mię stracił niewinnie.

Słowa te odbiły się echem w samej głębi duszy Jana. Nie wiedział, czy wymówił je trup, stojący przed nim, czy też własna myśl jego wydawała dźwięki możebne do usłyszenia.

Ale oto podniosła się druga deska i z pod niej pokazała się twarz Daniły Adaszewa, straconego przez Jana cztery lata temu.

Adaszew także wyciągnął się z pod po-

długi, pokłonił się carowi i rzekł:

— Bądź pozdrowiony, Iwanie, oto ja ci dziękuję, żeś mnie stracił niewinnie!

Po Adaszewie zjawiła się bojarka Marya, stracona razem z dziećmi.

Podniosła się z pod podłogi z pięcioma synami. Wszyscy pokłonili się Janowi i każdy powiedział:

— Bądź pozdrowiony, Iwanie, oto ja ci dziękuję!

Potem zjawili się: książe Kurlatew, książę Obolenskij, Nikita Szeremietjew i inni traceni przez Jana.

Izba została przepełnioną trupami. Wszyscy się nizko kłaniali carowi, wszyscy mówili:

— Bądź pozdrowion, bądź pozdrowion, Iwanie, oto my ci dziękujemy, żeś nas stracił niewinnie.

Oto zjawili się zakonnicy, starcy, zakonnice, wszyscy w czarnych ryzach, wszyscy bledzi, krwawi.

Oto zjawili się żołnierze, którzy byli z carem pod Kazaniem.

Cali byli pokryci okropnemi ranami, ale ran tych nie otrzymali na wojnie, wszystkie pochodziły z rąk katów.

Oto zjawiły się dziewczęta w podartej odzieży i młode żony z dziećmi przy piersi. Dzieci wyciągały krwawe rączęta do Jana i szczebiotały:

— Bądź pozdrowion, bądź pozdrowion, Iwanie, dziękujemy ci, żeś nas stracił niewinnie!

Nie, nigdy jeszcze nie wydało się nic tak strasznem Janowi, jak słowa tych niewiniątek, którym wtórowało stokrotne echo. W uszach mu brzmiały pieśni za zmarłych; włosy stały do góry.

— W imieniu Boga żywego — zdołał wymówić — jeśli jesteście przysłani przez djabła, zgińcie! Jeżeli jesteście rzeczywiście duszami straconych przezemnie, czekajcie sądu ostatecznego, Bóg mnie razem z wami rozsądzi!

Zawyły trupy i poczęły krążyć naokoło Jana, podobnie jak liście przez wiatr rozproszone. Smutniej jeszcze rozległy się śpiewy za umarłych, deszcz znowu zastukał w okno i w pośród szumu wiatru carowi zdawało się, że słyszy dźwięki trąb i głos wołający:

— Iwanie, Iwanie na sąd, na sąd!

Car głośno krzyknął. Słudzy z sąsiednich pokoi wbiegli do sypialni.

— Wstawajcie! — krzyknął car — kto śpi teraz! Nastał ostatni dzień, nastała ostatnia godzina! Wszyscy do cerkwi, wszyscy za mną!

Popłoch zrobił się między dworakami. W dzwony uderzono. Opryczniсy, którzy tylko co zasnęli, na odłos dzwonu wyskoczyli z łóżek i czemprędzej poczęli się ubierać.

Wielu z nich ucztowało u Wiaziemskiego. Siedzieli przy pucharach i śpiewali pieśni. Usłyszawszy dzwony, wyskoczyli i czarne habity włożyli na bogate kaftany, a głowy nakryli wysokiemi kapturami.

Cała Słoboda była na nogach. W cerkwi Matki Boskiej pozapalano światła.

Zbudzeni mieszkańcy ujrzeli wiele ogni w oknach dworca. Ognie te utworzyły potem długi łańcuch, ciągnący się na podobieństwo węża przez kurytarze złączone z cerkwią. Był to pochód opryczników.

Wszyscy opryczniсy, ubrani w czarne habity, nieśli smolne pochodnie, których blask cudownie się odbijał o ściany dworca. Wiatr wzdymał habity a drogie kamienie i perły przecudnie połyskiwały przy świetle pochodni i blasku księżyca.

Na przodzie szedł car ubrany jak zwykły zakonnik. Bił się w piersi i wołał głośno płacząc:

— Boże zlituj się nademną grzesznym! Zlituj nademną psem śmierdzącym! Uspokój Panie dusze niewinnie straconych przezemnie!

U drzwi cerkwi Jan padł z wycieńczenia.

Pochodnie oświetliły starą mamkę, siedzącą na stopniach. Onufrowa wyciągnęła drżącą rękę do cara.

— Wstań, batiuszka, ja ci pomogę. Dawno już czekam na ciebie. Wejdziemy, Jasiu, pomodlimy się razem.

Dwóch opryczników podniosło cara za ręce. Jan wszedł do cerkwi.

Nowe procesye, także w czarnych habitach i wysokich kapturach, dążyły po ulicach z rozpalonemi pochodniami. Do wnętrza kościoła coraz to więcej przybywało opryczników, a olbrzymie twarze świętych

patrzały na nich z oburzeniem z wysokości ścian i kopuł.

Wśród nocnej ciszy rozległ się śpiew kilkuset głosów i daleko słychać było jęk dzwonu i przeciągłe psalmy.

Więźniowie w lochach wskoczyli, brzęcząc kajdanami i poczęli się przysłuchiwać.

— To car na jutrzni — powiedzieli do siebie — Boże zmiękcz serce jego, natchnij miłością duszę jego!

Małe dzieci w domach Słobody, śniące u łona swych matek, rozbudziły się w strachu i zaczęły płakać. Niejedna matka długo nie mogła uspokoić swego aniołka. "Cicho!" mówiła w końcu, "cicho, bo Maluta usłyszy!" Przy wyrazie: "Maluta", dziecię przestawało płakać i w strachu tuliło się do swej matki i znów wśród nocnej ciszy rozlegały się psalmy opryczników i nieustający odgłos dzwonu.

XII.

Potwarz.

Zeszło słońce, lecz nie wesoły poranek zawitał dla Maluty. Powróciwszy do domu, nie zastał syna i domyślił się, że Maksym na zawsze porzucił Słobodę. Wielką była wściekłość Grygorja Łukjanowicza. Na wszystkie strony rozesłał pogoń. Słudzy, którzy nie zauważyli odjazdu Maksyma, zostali wtrąceni do więzienia.

Ze zmarszczonemi brwiami, zacisnąwszy zęby, jechał Maluta ulicą, bijąc się z myślami, czy ma donieść o tem carowi, czy też ukryć przed nim ucieczkę Maksyma...

Wtem usłyszał za sobą tętent koński i wesołą rozmowę; obejrzał się. Carewicz z Basmanowem i kilkoma młodymi opryczznikami wracał z rannej przejażdżki. Miękka ziemia rozmokła od deszczu, konie grzęzły w błocie. Ujrzawszy Malutę carewicz puścił swego rumaka galopem i obryzgał błotem Grygorja Łukjanowicza.

— Kłaniam ci się do ziemi, bojarze Maluto! — rzekł carewicz, zatrzymując konia. Spotkaliśmy tylko co twoją pogoń. Widać, że Maksymowi się naprzykrzyło już mieszkać z tobą, kiedy drapnął. Albo może ty sam posłałeś go do Moskwy po czapkę bojarską, a teraz się rozmyśliłeś!

Tu carewicz począł się śmiać głośno. Maluta, według zwyczaju, zsiadł z konia. Stojąc z odkrytą głową, dłonią ocierał błoto z twarzy. Zdawało się, że jadowite oczy jego chciały zatruć carewicza.

— Ale po cóż on błoto ściera? — wtrącił Basmanow, chcąc się przypodchlebić carewiczowi — żeby to kto inny, to jeszcze, boć na nim nawet błota nie widać.

Basmanow mówił półgłosem, ale Skuratow go słyszał. Gdy młodzi opryczznicy śmiejąc się i rozmawiając, pojechali za carewiczem, Maluta włożył czapkę na głowę, siadł znów na koń i krokiem pojechał ku dworcowi.

— Błota nie widać — mruknął pod nosem — cierpliwości. I zbladłe wargi jego skrzywiły się do uśmiechu, a w sercu już rozdrażnionem ucieczką syna, dojrzewała zemsta dla tych, co go tak nieostrożnie obrazili.

Maluta zastał Jana w stanie podobnym do majaczki gorączkowej.

— Carze, powiedział po chwilowej przerwie Grygoryj Łukjanowicz — każesz torturować Kołaczewów, żeby ci wydali nowych zdrajców; spuść się na mnie, ja ich zmuszę do wyśpiewania wszystkiego. Jednego tylko uczynić nie będę w stanie — zmusić ich do wydania twego największego wroga.

Car ze zdziwieniem spojrzał na ulubieńca.

W oczach Maluty było coś niezwykłego.

— To carze rzecz jest taka — mówił dalej Skuratow ze zmienionym głosem, że i oko widzi... i ucho słyszy a język nie śmie wymówić.

Car patrzał na niego pytająco.

— Oto ty, carze naprzykład — już wielu złoczyńców karałeś śmiercią a zdrada na Rusi jeszcze się nie wykorzeniła. I jeszcze raz tyle i dziesięć razy tyle stracisz, a zdrada się zostanie!

Maluta zrozumiał, że nastała pora do naniesienia stanowczego ciosu.

— Carze — powiedział nagle ostrym tonem — nie szukaj zdrady daleko! Przeciwnik twój siedzi naprzeciw ciebie, pije z tobą z jednego puhara, je z jednego na-

czynia, odzież nosi z jednego ramienia!

Zamilkł Skuratow i pełen oczekiwania utkwił w carze swe krwawe oczy.

Zamilkł car także. Ręce mu opadły. Zrozumiał w końcu Malutę.

W tejże chwili z dworu doszły ich uszu wesołe krzyki.

Jeszcze przed zaczęciem rozmowy między carem i Skuratowem, carewicz wjechał na podwórze, gdzie czekali na niego różni drobni kupcy, którzy przybyli z Moskwy z chlebem — solą bić czołem carewiczowi.

Ujrzawszy carskiego syna, klękli przed nim.

Carewicz siedział na koniu. Koło niego był Basmanow. Kupcy klęczeli. Starszy z nich trzymał naczynie z chlebem i solą.

Maluta wszystko widział z okna.

— Carze — szepnął do ucha Iwanowi Wasiljewiczowi — widać, że go podmówił który z tych, co są z nim teraz. Widzisz, już naród nawet ich pozdrawia.

Przeszło parę chwil czasu w milczeniu. Nagle car się uśmiechnął.

— Gryszka — rzekł położywszy obie ręce na ramieniu Skuratowa — jak to ty dopiero co mówiłeś? — rąbiąc gałęzie a pień zostaje zdrowiuteńki?

— Gryszka — mówił dalej car wolno wymawiając każde słowo a patrząc na Malutę z jakiemś strasznem zaufaniem — czy się podejmujesz wyrwać zdradę z korzeniem?

Złowroga radość skrzywiła twarz Maluty.

— Dla twej carskiej miłości podejmuję się — wyszeptał, drżąc na całem ciele.

Wyraz lic Jana zaraz się zmienił. Uśmiech znikł. Ani jeden muskuł w nim nie drgnął. Twarz zdawała się być wykutą z marmuru.

— Nie trzeba zwłóczyć — rzekł przerywając głosem rozkazująco. — Żeby nikt o tem nie wiedział... On będzie dzisiaj na polowaniu... Powiedzą, że się zabił z konia... Znasz Djablą Kałużę?...

— Znam, carze.

— Tam mają go znaleźć! — Car wskazał na drzwi, Maluta wyszedł; w korytarzu odetchnął swobodniej.

Car długo stał nieruchomy. Potem wol nym krokiem podszedł do św. obrazów i padł przed nimi na kolana.

Ze wszystkich sług Maluty najodważniejszym i najroztropniejszym był jego strzemienny Maciej Chomiak. Żadnego się nie bał niebezpieczeństwa, lubił rozbój, a w zwierzęcości ustępował swemu panu. Czy trzeba było wieś podpalić, czy podrzucić list jakiś, według którego później tracono bojara, czy porwać czyją żonę — zawsze posyłano Chomiaka. Chomiak podpalał wsie, podrzucał fałszowane papiery i zamiast jednej żony porywał kilka.

Do Chomiaka i teraz udał się Grygorij Łukjanowicz. Nad czem obaj się naradzali, nikt nie słyszał, ale tego samego poranku, gdy spuszczona ze sfory psiarnia carewicza tropiła zwierza w okolicach Moskwy, pędzili po głuchej ścieżynie, oddalając się od miejsca polowania. Chomiak i Maluta, a między nimi, ze związanemi rękoma, przymocowany do siodła, jakiś trzeci, którego twarz, aż po sam podbródek, okręcana była baszłykiem. Na skręcie ścieżki przyłączyło się do nich dwudziestu uzbrojonych opryczników i wszyscy razem puścili się dalej nie mówiąc ani słowa.

Polowanie tymczasem szło swoim trybem, a nieobecności carewicza nikt nie zauważył oprócz dwu strzemiennych, którzy teraz dogorywali w parowie nożami przebici.

O trzydzieści wiorst od Słobody, wśród sędziwego boru, znajdowało się nieprzebyte błoto, które naród Djablem przezwał.

Wiele rzeczy opowiadano o tej miejscowości. Tracze o zmierzchu bali się tam blisko podchodzić. Upewniano, że latem w nocy latały nad błotem ogniki — dusze zabitych przez rozbójników i do Kałuży wrzuconych.

Nawet wśród białego dnia błoto wywierało wrażenie jakiejś przykrej tajemniczości. Wielkie drzewa, ogołocone u dołu z gałęzi, podnosiły się z wody mętnej i czarnej, a odbijając się w niej, jak w zamglonem zwierciadle, zdawały się być jakimś dziwnymi olbrzymami i strasznemi zwierzęty. Nie słychać było w bliskości Kałuży człowieczego głosu. Stada dzikich kaczek przelatywały kiedy niekiedy pluskać się na jej powierzchni. W trzcinie rozlegał się smutny krzyk kurki wodnej. Czarny kruk przelatywał nad drzewami, a złowieszcze jego krakanie powtarzało stokrotne echo. Czasami słychać

było gdzieś daleko — daleko — uderzenie siekiery, trzeszczenie nadrąbanego drzewa i głuche uderzenie o ziemię...

Ale gdy słońce schowało się za drzewami, gdy nad błotem zaczynała wznosić się przezroczysta para, ucichały uderzenia siekiery i dawniejsze dźwięki zamieniały się zwolna z nowemi. Zaczynało się jednostajne skrzeczenie żab, z początku ciche, przerywane — potem głośne, połączone w jeden chór.

Im większa ciemność zalegała ziemię, tem głośniej syczały gady; głosy ich tworzyły niby jeden nieprzerwany szmer, do którego ucho wkrótce się przyzwyczajało rozróżniając tylko dalekie wycie wilków i stękanie puszczyka.

Cisza zalegała jeszcze większa; wszystko traciło swe dawne kształty, a przyoblekało się w nowe. Woda, liście, gałęzie drzew i mgliste pary stanowiły jedną całość. Dźwięki i przedmioty łączyły się razem i stawały niemożebnemi dla pojęcia ludzkiego. Djabla Kałuża przechodziła na własność nieczystej siły.

Do tego przeklętego miejsca, tylko nie wśród nocy, lecz w piękny słoneczny dzień, dążył Maluta z oprycznikami.

W tym samym czasie, gdy ci spieszyli się i popędzali konie, inni ludzie, podobni do nich, zaczynali się schodzić w odwiecznym lesie niedaleko od Djablej Kałuży.

XIII.

Waniucha Pierścień i jego towarzysze

Na szerokiej polanie, otoczonej staremi wieczystemi dębami i nieprzebytemi zaroślami, na wywróconych pniach i korzeniach, na kupkach siana i suchych liści, leżało lub siedziało mnóstwo ludzi różnego wieku i w różnych ubiorach. Uzbrojone chłopy coraz to wychodzili z gęstwiny lasu i przyłączali się do towarzyszy. Wiele tam było kontrastu. Więc dostrzegałeś przez gałęzie drzew jednych w siermięgach, drugich w kaftanach złotem wyszywanych, a innych w łachmanach. Ci mieli szable u pasa, tamci trzymali w ręku buławy albo opierali się na szerokich mieczach. Nie mało tam było zmarszczek, szram, najeżonych głów i nieczesanych bród.

Odważne towarzystwo rozpadało się na różne kółka. Na samym środku polany gotowano kaszę i mięso na prętach pieczono. Nad trzeszczącym ogniem wisiały kotły. Kucharze kaszlali i przecierali oczy, odwracając się od dymu.

Trochę dalej starzec, z siwą kędzierzawą głową a długą brodą, opowiadał młodzieży jakąś historyjkę. Opowiadał, stojąc oparty o topór, na długim drzewcu osadzony. Tak było mu zręczniej niż siedząc. Mógł się i wyprostować, i obrócić dokoła i gdzie było potrzeba, zamierzyć się toporem i gwizdnąć po młodemu. Młódź też słuchała go z prawdziwą uciechą, aż gęby porozdziawiali: jedni siedząc na ziemi, drudzy wdrapawszy się na gałęź, inni po prostu z rozstawionemi nogami i wytrzeszczonemi oczyma, a inni jeszcze, i tych było najwięcej, leżąc na brzuchu, łokciami oparci o ziemię a brodą o dłonie, bo tak im było najlepiej.

Dalej znów dwóch zuchów biło jeden drugiego kułakami po głowie. Zabawa polegała na tem, który z nich okaże się wytrzymalszym. Ale ani jednemu ani drugiemu nie chciało się przestać. Już dwaj przeciwnicy poczerwienieli jak ćwikła, a ogromne kułaki nie przestawały walić niby młoty o kowadło.

— Hej Chłopko, czy nie będzie ci dosyć? — spytał ten co wydawał się być starszym.

— Nie bój się, bratku Andriuszko, jak będzie dość to powiem. Ale tobie to się zaraz zrobi nie dobrze.

Kułaki stukały dalej.

— Patrzcie chłopcy, Andriuszka zaraz padnie — mówili widzowie.

— Po co ma padać! — odrzekli drudzy — silny ma łeb!

— No, zobaczysz, że będzie leżał!

Ale Andriuszka jakoś upaść nie myślał. Omylił się, i zamiał po głowie, uderzył przeciwnika w skroń.

Chłopko runął jak długi.

Wielu widzów poczęło się śmiać, lecz większa część się oburzyła.

— Nieuczciwie, nieuczciwie, — krzyknęli

— Andriuszka okpił! Obić Andriuszkę!

Andriuszce na poczekaniu wymierzono sprawiedliwość.

— Zkąd, chłopcy, Bóg niesie? — spytał stary opowiadacz kilku zuchów, którzy podeszli do ognia i trwożnie poczęli się rozglądać na wszystkie strony.

Przyprowadził? ich do rudy opryszek z szerokim nożem za pasem. Ci nie byli uzbrojeni i zdawało się, że pierwszy raz dopiero znaleźli się w tem otoczeniu.

— Słuchajcie sokoliki — rzekł zwracając się ku nim rudy — dziadzio Jastrząb pyta się, zkąd was Bóg niesie? odpowiadajcież dziadziowi.

— No to.... tego... ja z pod Moskwy jestem — wyjąkał jeden z przybyszów.

— A dla czego z gniazda wyleciałeś?— spytał znów Jastrząb; — czy ci mróz przypadł, czy gorąco przypiekło?

— Oj i jedno i drugie. Jak oprycznicy chatę zapalili, to naprzód się zrobiło gorąco, a jak chata zgorzała, to na dworze mróz przycisnął.

— Tak! — Toś ty chłopiec nie głupi. No, a ty po coś przyszedł?

— Rodziny szukać.

Rozbójnicy gruchnęli głośnym śmiechem.

— Widzisz go, co wymyślił! — krzyknął jaki taki. — A jakiejżeż ty chcesz rodziny?

— A bo jak zabili oprycznicy matkę i ojca, siostry i braci — tęsko się zrobiło samemu na świecie; pomyślałem więc sobie: pójdę do dobrych ludzi, oni mnie nakarmią, napoją, będą mi braćmi i ojcem. Spotkałem tego oto młodego i prosiłem, aby wziął mnie z sobą.

— Zuch z ciebie! — krzyknęli rozbójnicy — siadaj z nami. Oto chleb — sól; my tobie bracia!

— A ten co tak spuścił nos na kwintę? hej babiaku... coś pyska nadął? zkąd jesteś?

— Z pod Kołomny! — odrzekł ledwie ruszając językiem wysoki drągal o głupiej twarzy, który stał w tyle za długimi.

— Cóż, czy i tobie oprycznicy się nie podobali?

— Babę porwali — odrzekłten gapiowato.

— A no gadaj! jak to było?

— Co tu gadać! napadli i porwali!

— No, a potem?

— Co potem? — potem nic.

— Dla czego baby nie odbiłeś?

— Gdzie ją tam było odbijać! Jak napadli to wzięli.

— A ty im się przyglądałeś z roztworzoną buzią?

— Ale nie! Jak człeka zamalowali po gębie, to nie wiedział co się z nim dzieje.

Rozbójnicy zaczęli się śmiać.

— To ty, bracie, widać nie umiesz sam łupić?

Drągal zrobił głupią minę i nie odpowiedział nic.

— Hej ty, parzona rzepo — ochrzcił go jeden opryszek — zabrali babę, to jeszcze nie wielkie zmartwienie, znajdziesz drugą.

Drągal roztworzył usta i nic nie mówił.

Twarz jego wydała się rozbójnikom zabawną.

— Słyszysz, odezwij się! — Ty któryś dał mu sójkę w bok.

Drągal milczał.

Opryszek uderzył mocniej,

Drągal spojrzał na niego tak głupio, że wszyscy śmiać się poczęli.

Kilku opryszków podeszło doń i poczęli go popychać.

Drągal nie wiedział, żali się gniewać lub nie, lecz jedno silniejsze uderzenie wyprowadziło go z cierpliwości.

— Dosyć tej pchaniny — wybełkotał — czy ja jestem worek mąki, czy co? Daj pokój, bo będę zły!

Rozbójnicy jeszcze więcej się śmiać zaczęli.

Drągal w samej rzeczy chciał się rozgniewać, tylko lenistwo i wrodzona ospałość wzięły górę. Uważał, że nie warto się sierdzieć o głupstwo, a ważnej przyczyny nie było.

— Bądźże zły! powtarzali rozbójnicy — dla czego nie jesteś zły?

— Spróbuj no jeszcze pchnąć!

— Widzisz go, jaka bestya łakoma! Na masz!

— Spróbuj no mocniej!

— Masz mocniej!

Tu drągal rozzłościł się nie na żart.

— Teraz się trzymajcie — rzekł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRAWIEC CZARNOKSIĘŻNIK.

CIEKAWE OPOWIADANIE.

(Ciąg dalszy.)

Gdy więc jednego poranku starszy czeladnik, wychodząc z pośpiechem z pracowni, zapomniał zamknąć szafę z miarkami i nożyczkami, dowcipny czeladnik porwał nożyczki i materyę i rzekł:

— Patrzcie tylko towarzysze! Oto podejrzałem Fryca i teraz potrafię tak samo jego nożyczkami krajać, jak i on.

Pocałował tedy nożyczki i zaczął krajać. Nożyczki posuwały się tak prędko jak i wówczas, kiedy Fryc niemi krajał i pocięte części zdawały się również być dobre.

— Umiem rzeczywiście niemi krajać! — wołał ucieszony czeladnik. Gdy jednakże chciał pojedyncze części złożyć, okrzyk przerażenia wydarł się z ust wszystkich: oto wykrojone ubranie było by dobre dla mężczyzny wysokiego i chudego, gdy tymczasem podług miary ubranie miało być dla nizkiego, otyłego sekretarza sądu. Rzecz naturalna, że cała materya była już całkiem zepsuta, i majstrowa załamała ręce z rozpaczy, gdy się dowiedziała o takiem nieszczęściu.

W tejże chwili przyszedł Eryc. Obejrzawszy pokrajane kawałki, rzekł gniewnie:

— Wszakże to są same prawe części ubrania; dwa prawe przodki... wszystkiego po dwa i wszystko prawe! Tak to się zawsze dzieje. A trzeba ci było ruszać moje nożyce?

Zawstydzony czeladnik dobrą dostał nauczkę, tembardziej, że długo musiał pracować, nim mógł się uiścić z wyrządzonej szkody.

Od tego czasu patrzeli nienawistni czeladnicy jeszcze krzywiej na Fryca. Nie wiele on sobie z tego robił, bo miał czyste sumienie i niczego się nie obawiał, lecz nie uszło przecież jego baczności zagadkowe postępowanie czeladników. Od pewnego czasu radzili oni nad czemś pokryjomu, wychodzili często z domu pod różnymi pozorami, i trzymali się z daleka od Fryca. Niestety! Zagadka miała się w bardzo krótkim czasie rozwiązać: oto pewnego dnia, gdy Fryc był jak zwykle zajęcy pracą, wpadła do pracowni straż miejska, a z nią przełożony cechu krawieckiego. Na ten widok porwali się czeladnicy ze swych miejsc i zaczęli wołać:

— Oto on, oto Fryc Czarnoksiężnik! Bierzcie go, ale zwiążcie dobrze i weźcie jego nożyce!

Wszelkie przedstawienia Fryca i majstrowej na nic się nie zdały; związano go jak złoczyńcę i zaprowadzono do więzienia, w którem sypiać musiał na twardej ławce, a jadł tylko czarny chleb i pił czystą wodę.

Nazajutrz wezwano go do przesłuchania.

Na pierwszem miejscu siedział sędzia; obok przy stoliku pisarz miał spisywść zeznania oskarżonego, a przy drzwiach przewodniczączący cechu, wszyscy krawcy z miasta i czeladnicy, oskarżyciele biednego Fryca. Na balkonie, który się ciągnął w około sali, zebrała się publiczność. Wszyscy prawie żałowali Fryca i radzi by byli, aby tenże mógł być uwolnionym.

IX.

Przewodniczący dał znak do rozpoczęcia sądów i wezwał krawców, by przedstawili swoje oskarżenie. Ci tedy zabrali głos:

— Panie Sędzio! Wiadomo wam, że przed czterema miesiącami zmarł nasz kolega. Za życia prowadził on swój warsztat, który się wcale dobrze opłacał, gdyż trzymał nawet dwóch czeladników. Rzeczą jest pewną, że wdowa nie może tak korzystnie prowadzić interesu, jak mąż i dla tego zwykle

po śmierci męża następuje reakcya, a mianowicie "kundmanowie" jej udają się do innych krawców, którzy w ten sposób byt swój mogą poprawić. Gdy więc i ten krawiec umarł, mieliśmy wielką nadzieję, że jego goście do naszego sklepu przejdą. Niestety nietylko żeśmy nic nie skorzystali, lecz owszem tracimy każdego dnia coraz więcej, gdyż wszystko biegnie teraz z obstalunkami do wdowy i do tego karzełka. Rzecz to nadzwyczajna, a główną jej przyczyną jest ten oto mały czeladnik, którego już samo nazwisko "Czarnoksiężnik" — podaje w podejrzenie. On jest rzeczywiście czarodziejem, a jako taki, musi być podług prawa na stosie spalony.

Następnie zawezwał sędzia czeladników, aby poświadczyli oskarżenie krawców. Ci uczynili to i dodali jeszcze, że ma on czarnoksięzkie nożyczki, że wpierw nim zacznie krajać — całuje je i szepce jakieś niezrozumiałe słowa.

— Ze szczupłych kawałków materyi, — mówili oni — wykrawuje on wygodne ubrania i jeszcze mu spore resztki zostają. W naszych jednak rękach nożyczki potną sukno na tysiączne kawałki tak, że nic już z niego zrobić nie można.

— Widzicie, — wołali oskarżyciele — że on jest jawnym czarnoksiężnikiem i że powinien być spalony na stosie.

— Dobrze, — odparł sędzia — wysłuchałem waszej skargi i świadków; pozwólcie teraz wysłuchać obrony obwinionego. Mów malcze!

— Panie sędzio — rzekł Fryc — obwiniają mnie o czarnoksięztwo. To jednak polega na tem, żem się dobrze mej sztuki wyuczył. Gdym się tu zjawił i przyjął miejsce czeladnika w warsztacie niedawno zmarłego krawca, wyście tam kazali robić sobie ubranie. Robota moja podobała się Wam, tak żeście nie wachali się polecić naszego warsztatu wszystkim swoim znajomym, a to właśnie jest owem hokus-pokus, które podwyższyło dochód naszej firmy, a o niejaką stratę przyprowadziło obecnych tu krawców. Każdy przecież woli mieć zamówienie prędko wykonane, ubranie wygodne i spory kawał resztki, co wszystko zależy już od zręczności, rzetelności i sumienności majstrów.

Sędzia zwrócił się wtenczas do oskarżyciela i rzekł:

— To prawda. Ten czeladnik uszył mi takie wygodne ubranie, jakiego jeszcze nigdy nie miałem. Sukna dałem tyle, co zawsze, a jednak została jeszcze niemała resztka. To wszystko lubią ludzie i nic dziwnego, że robotę zamawiają tam, gdzie mogą liczyć na szybkość, punktualność i rzetelność. Nie widzę też, z przyczyny tej, powodu, bym miał go karać.

— Tak, — wrzasnęli majstrowie — ale nożyczki! Dla czego tylko on niemi dobrze krajać umie, a inni psują sukno? To jest czarnoksięztwo. On musi być spalonym, ten czarnoksiężnik!

— A cóż ty na to? — zapytał sędzia.

Obwiniony odpowiedział:

— Panie Sędzio! Już nieraz widziałem, jak pan sędzia przejeżdżał się na swym pysznym rumaku. Pan umiesz nim kierować. Chcesz pan, to koń idzie w pole, chcesz pan — to pójdzie w stronę gór. Ale gdybym ja tego konia dosiadł, to musiałbym tam jechać, gdzie mnie koń poniesie; a gdy bym wjechał na rynek między przekupki i powywracał im stragany, lub gdy bym garncarzom poniszczył ich towar, to także musiałbym ścierpieć i winę przypisać sobie, gdyż nie umiejąc koniem kierować, nie powinienem był go dosiadać.

— Masz słuszność - odparł sędzia i chciał zwrócić się do oskarżycieli, gdy ci znowu wrzeszczeć poczęli:

— A więc dla czegóż on te nożyczki zawsze całuje i mruczy nad niemi jakieś tajemnicze słowa, dla czego innych nożyc nie weźmie do ręki?

— To musisz nam ostatecznie wytłumaczyć — rzekł sędzia.

— Całuję moje nożyce — odparł Fryc — i szepcę cicho podziękowania osobie, która mi te nożyce darowała, to prawda; lecz czyż taki pocałunek lub kilka słów niewinnych mogą komu zaszkodzić? Jestem gotów ucałować tu pokolei wszystkich majstrów, i ręczę, że żadnego z nich nie oczaruję. Że nie innych używam nożyczek, to także nic nadzwyczajnego: kto spojrzy na moją małą i wątłą rękę, ten pojmie, że wielkiemi zwykłemi krawieckiemi nożyczkami władać bym

nie mógł.

Sędzia tedy wydał wyrok, że Fryc jest nie winny.

— Idźcie do domu — rzekł do oskarżycieli — i narzekajcie na swoje nieuctwo, a w tem każdy wam słuszność przyzna.

To rzekłszy, zamknął posiedzenie. Oskarżyciele zawstydzeni, a słuchacze uradowani — opuścili salę sądów i zostali się tylko sędzia i mały Fryc. Wówczas rozkazał sędzia pachołkom opuścić salę i tak rzekł do Fryca:

— Widzisz, że nie zapomniałem o naszym zakładzie i wywiązałem się z danego słowa. Ale teraz kiedyś wolny, radzę ci, byś coprędzej zabrał swoje manatki i cichaczem wyniósł się z miasta. Wiesz, że masz wielu nieprzyjaciół, którzy na ciebie czatują i przy sposobności mógł byś tęgo po skórze oberwać. A powtóre, mówiąc prawdę, mogą twoi nieprzyjaciele wpaść na to, że bajka z koniem zanadto była nieprawdopodobną, bo przecież co innego jest żyjący koń, a co innego kawałek martwego metalu; gdyby cię na tem pochwycili, to jużbyś drugi raz tak gładko się nie wymknął. Bo że to nie czysta sprawa z twemi tam nożycami i żeś ty czarownik, to o tem jestem przekonany i dla tego radzę ci: opuść to miasto jak najprędzej.

Zasmucony Fryc przybył do domu i począł się natychmiast zabierać, by mógł bez zwłoki jeszcze dzisiaj wyruszyć w podróż. Nie pomogły prośby i nalegania majstrowej, która nie rada była wypuszczać tak sumiennego i zręcznego czeladnika. W końcu jednak uznała stosowność rady sędziego, i w dwie godziny później nasz Fryc znajdował się już za bramami miasta.

X.

Gdy słońce dzień następny oświeciło, był już Fryc daleko, daleko od niegościnnego miasta; w tej chwili szedł wolnym krokiem pod górę, na której miał odpocząć i spożyć śniadanie. Majstrowa wypłaciła mu cały jego tygodniowy zarobek, który był tak dostatni, że nasz Fryc, mając z czego żyć, postanowił sobie przez kilkanaście dni odpocząć. Dla tego też nigdzie nie podjął się żadnej roboty, lecz wędrując z miasta do miasta do miasta, miał sposobność podziwiać wielkie i inne jego życie, jak na wsi, lub też delektował się pięknymi widokami okolic, przez które wypadała mu droga.

Tak przyszedł on w końcu do wielkiego miasta, położonego nad pewną wielką rzeką, przez którą wspaniały most prowadził. Na blizkim wzgórzu wznosił się majestatycznie zamek królewski, a ulice miasta roiły się tysiącami czynnych mieszkańców. Miasto to wyjątkowo mu się podobało, a ponieważ i zapas jego pieniężny miał się już ku końcowi, postanowił przeto poszukać sobie zajęcia. Chodził więc od krawca do krawca, lecz wszędzie go nie chętnie i pogardliwie odprawiano, tak iż stracił już nadzieję, czy w tem pięknem mieście wogóle będzie mógł się utrzymać. W końcu wstąpił jeszcze do jednego krawca, którego warsztat przy pobocznej, ciasnej leżał uliczce; samego tylko majstra zastał Fryc w pracowni, która nie bardzo mu się pocześnie przedstawiła.

— Hm! — odrzekł majster, gdy mu Fryc swoje życzenie przedstawił — ja wprawdzie nie potrzebuję czeladnika, gdyż sam zaledwie mogę z tego wyżyć, co mi dają zarobić; ale ponieważ obecnie mam zrobić dwa nowe ubrania, dla tego mógł bym cię parę dni potrzebować, gdyż właściciele zamówionych ubrań już dawno na nie czekają.

Fryc zatem został się u krawca i zabrał się zaraz do roboty. Najprzód musiał dokonać kilku naprawek. W krótkim czasie je ukończył; zdumiał się krawiec, gdy ujrzał tak pięknie ponaprawiane surduty. Fryc tymczasem spostrzegł, że majster chciał skroić jedno ubranie, ale nie mógł odpowiednio rozmierzyć sukna; potrząsając tedy głową; przykładał miarę to tu, to owdzie — lecz napróżno. Przystąpiwszy więc, począł przypatrywać się mierze i nagle wykrzyknął:

— Czy ten obywatel, dla którego to ubranie zrobić mamy, jest garbaty?

— A jakżeś ty poznał to z miary? — zawołał jeszcze bardziej zdziwiony majster.— Jest on rzeczywiście ułomny i prosił właśnie o zrobienie mu surduta w ten sposób, aby mógł jako tako ułomność swoją pokryć,

ludzie umieją wprawdzie robić dobre suknie, lecz wątpię, czyby się znalazł krawiec, któryby był w stanie zamaskować ułomność ciała taką, jak garb?

Wtedy wyciągnął Fryc swoje nożyczki z tłómoczka i rzekł:

— Pozwólcież, bym ja to ubranie skroił.

— A jeżeli popsujesz sukno? — zapytał majster.

— To zapłacę szkodę — odparł Fryc i położył ostatniego dukata na stole. Ubezpieczony w ten sposób majster — powierzył mu sukno i miarę.

Fryc, ucałowawszy, jak zwykle, swoje nożyczki, zaczął tak prędko krajać, że majster aż się przestraszył. Ze zdumieniem jednak przekonał się wkrótce, że w całym kroju nie było ani jednego fałszywego cięcia. Zabrali się tedy do szycia i chociaż majster pomagał, to przecież głównie pracował Fryc. Wkrótce ubranie było gotowe i gdy się weń ustroił biedny garbaty, uciesze jego nie było końca; nie dość bowiem, że ubranie leżało nadzwyczaj wygodnie, ale zakrywało nadto garb do tego stopnia, że garbus stał się teraz nagle wcale przystojnym mężczyzną; a gdy na ulicy się pokazał, znajomi nawet poznać go nie mogli.

Z drugiem ubraniem tak samo poszło. Właściciel tegoż był również ułomnym, ale Fryc potrafił ułomności te pokryć sztucznym krojem i watą. Wkrótce całe miasto dowiedziało się, komu właściwie zawdzięczają ułomni poprawienie swych nieofortunnych postaci. Innych, których również natura wspaniałym nie obdarzyła wzrostem, zwabiło i zaciekawiło to również niezmiernie i ci zamówili również ubrania. Wkrótce wszystko co żyło spieszyło do krawca po cudowne ubrania i wszyscy wychodzili ztamtąd, rzekłbyś, odmłodzeni i odnowieni.

Król tego miasta miał syna, który wprawdzie nie był bardzo ułomny, ale przecież taką miał niekształtną postawę, że żaden, choćby najlepszy krawiec, nie mógł mu zrobić wygodnego ubrania. Według życzenia ojca miał się on udać w podróż, odwiedzić wszystkich sąsiednich królów i przy tej sposobności wybrać sobie przyszłą małżonkę. Słyszał on już o sławnym krawcu i dla tego posłał do niego swego kamerdynera, aby przyszedł wziąć mu miarę na nowe ubranie.

Krawiec udał się natychmiast na zamek lecz naturalnie w towarzystwie Fryca, którego przed księciem jako znakomitego czeladnika wychwalał. Książę uważał to za dowód jego pracowitości, umiejętności i uczciwości, że tak daleką odległość od rodzinnego miasta przebył bez żadnej przeszkody i w tak krótkim czasie potrafił wsławić się w stołecznem mieście jego ojca. Gdy suknia była gotowa majster odniósł ją księciu; tenże wdział ją zaraz i z zadowoleniem oświadczył, że tak wygodnej i tak wspaniale zrobionej sukni nigdy jeszcze nie miał. Objawił też ucieszonemu krawcowi życzenie, by tenże zajął się całą jego garderobą, a na domiar szczęścia stary król zamianował go nadwornym swoim krawcem. Od tego czasu miał już krawiec i zajęcia i pieniędzy pod dostatkiem: wszyscy panowie dworscy, urzędnicy, słudzy króla i w ogóle wszelkie znakomite osobistości nie nosiły innych sukien, oprócz tych, które robił nasz krawiec, a raczej Fryc.

Krawiec wystawił sobie w najludniejszem miejscu dom, kupił karetę i konie i w ten sposób objeżdżał swoich licznych "kundmanów". Fryc jeździł naturalnie z nim wszędzie, gdyż krawiec nie umiejąc brać miary udawał, że za dumny jest do takiej pracy, jak branie miary, które on za fraszkę uważał. W domu jednak pochlebiał małemu czeladnikowi, dogadzał jak mógł, płacił mu grubą sumę i oprócz tego sprawiał mu jeszcze różne sute podarunki.

Fryc był teraz bogatym, lecz nie wiedział co ma z tylu pieniędzmi począć. W tem jednego dnia przyszło mu na myśl, że przecież to wszystko, co ma, i tę sławę, jaką posiada, zawdzięcza tylko poczciwej starej Walterowej z dziurawym płaszczem. Postanowił jej tedy w dowód wdzięczności uszyć nowy wspaniały strój damski. Kupił tedy w tym celu ciemno-niebieskiego aksamitu i uszywszy zeń kompletny strój kobiecy, ozdobił go bogato złotemi tkaninami, poczem ukrył go na samym spodzie tłumoczka tak zręcznie, że ani majster ani nikt inny o tem się nie dowiedział.

Ponieważ Fryc już kilkakrotnie dał się

z tem słyszeć, że pójdzie dalej w świat, zaniepokojony tem majster używał wszelkich sposobów, by go przy sobie stale zatrzymać. Chciał mu nawet dać za żonę swoją jedynaczkę, lecz tak tę, jak i wszelkie inne propozycye, perswazye, obiecanki itd. odrzucił Fryc stanowczo i spakowawszy swój tłumoczek, pożegnał dobrego swego majstra i poszedł dalej w świat.

XI.

W podróży swojej dalszej Fryc prowadził życie bardzo urozmaicone. Parę tygodni pracował w jakiem większem mieście, następnych parę tygodni obracał na dalszą wędrówkę, podczas której przypatrywał się i badał zwyczaje i obyczaje miast lub też podziwiał roztaczające się przed nim wspaniałe widoki gór, lasów, dolin i jarów.

Tak przyszedł on pewnego dnia do wspaniałego wąwozu, który się ciągnął między dwoma odwiecznym lasem pokrytemi górami. Na wierzchołku jednej z tych gór w pewnem odosobnieniu stał wysoki, rozłożysty buk, który ścieląc w około miły chłód i cień zapraszał nęcąco do upragnionego spoczynku. Fryc bez namysłu wdrapał się na górę i z przyjemnością rozciągnął się na zielonej murawie, okalającej buk i otarł pot ze znużonego oblicza i czoła. O kilka kroków od starego buka staczał się z góry z szumem mały górski strumyczek, którego łagodny szmer powoli usypiał znużonego naszego wędrowca. Ten z przyjemnością słuchał szumu rozbijającego się o skaliste brzegi strumyka; w końcu zmorzony snem usnął marząc o domu rodzinnym i o starej, dobrej, ubogiej Walterowej. Nagle przez sen zdało mu się, że jest znowu małym chłopaczkiem i pasie owcem w swoim wąwozie. W tem staje przed nim Walterowa i pyta:

— A cóż, maszże jeszcze naparstek i nożyce?"

— Naturalnie, — odparł Fryc, — oto są. — I wyciągając jedno i drugie z tłumoczka dodał:

— Niemi to dorobiłem się bogactwa i sławy.

— Tak, tak — rzecze stara — nie chodzi o to, czego się człowiek dorabia, lecz czy się słusznie i uczciwie dorabia majątku lub sławy. Lecz co do ciebie, to ci oświadczam, że od dzisiaj musisz zaprzestać krawiectwa. Nożyczki więc i naparstek zakopiesz oto tam na górze obok tego rumowiska. Pracując jako krawiec miałeś mi tylko dać dowód, że chętnie pracowałbyś i w każdym innym zawodzie i żadna praca wstrętną by ci nie była. Teraz pokażesz mi to samo, ale w rzeczach ważniejszych. Zawsze jednak i wszędzie bądź szczery i rzetelny i strzeż się obcować z kłamcą i oszustem chociażby cię nawet wewnętrzna skłonność lub wdzięczność do tego ciągnęła; z kłamcami bowiem i z pochlebcami porządny i uczciwy człowiek żadnej najmniejszej styczności mieć nie powinien. Słuchaj mej rady zawsze, jak dotąd. Ale powiedz mi tak szczerą prawdę: czyś ty nigdy nie skłamał?

— Nie — a przynajmniej z własnej woli nigdy — odparł Fryc.

— Ale raz oskarzono mnie o czarnoksięztwo i musiałem się bronić przed sędzią. Wasze nożyce były tego powodem. Krajały one sukno podług miary tak jak gdyby miały własną wolę. To wówczas zataiłem i powiedziałem tylko, że ja lepiej umiem krajać, jak moi oskarzyciele. Sądziłem bowiem, że nie ja, ale nożyce były czarownikiem lub przynajmniej zaczarowane.

— Tak, tak, — rzekła stara — tak to nożyce, a nie ty. Wprawdzie byłoby dobrze, gdybyś był prawdę wprost powiedział, ale kto milczy ten po części przyznaje i tak wymyka się cało między kłamstwem a prawdą. Zresztą widzę, że nie chciałeś istotnie nigdy rozminąć się z prawdą, kiedy teraz robisz sobie z tego wyrzuty.

— Jeszcze raz ci radzę: bądź zawsze prawdomowny, uczciwy i wdzięczny, a źle na tem pewnie nie wyjdziesz. Wiedz bowiem, że ta stara kobieta w podartym płaszczu jest córką geniusza. Król geniuszów pozwolił mi zostać żoną ziemskiego króla. Aczkolwiek wskutek takiego związku władza nasza staje się jeszcze większą, to mimo to my córki geniuszów często władzy tej nadużywamy do tego stopnia, że i sobie i

krewnym ściągamy nieszczęście lub klęskę. Tak i mnie ogarnęła niepohamowana żądza posiadania strojów, sukien, mebli, sprzętów, klejnotów i cacek wszelkiego rodzaju. Ja wraz z córką zmieniałam cztery do pięć razy dziennie suknie; żadnej dwa razy nie ubrałyśmy. Materye musiały być najpiękniejsze i najkosztowniejsze, a krawcy zachodzili czasem w głowę, gdyż musieli coraz nowsze wymyślać kroje, by nas tylko modnie choć niezwykle i fantastycznie ubierać. Tak samo zmieniałyśmy klejnoty złote zdobne brylantami i najkosztowniejsze sprzęty. Wkrótce modność wkradła się między urzędników, panny dworskie — krótko, wszyscy prześcigali się w przepychu, to prawda, lecz zarazem podkopywali mimowolnie dobrobyt i egzystencyą państwa i poszczególnych rodzin. Wprawdzie mąż robił mi niekiedy wyrzuty i upominał bym dała pokój strojom, gdyż może mnie spotkać kara za takie lekkie życie, lecz ja nieszczęśliwa zanadto byłam roztargnioną, bym mogła usłuchać zdrowej jego rady. Zgryzoty i strapienia, z których niejednego ja byłam przyczyną, wcześnie wtrąciły męża do grobu. Śmierć jego upamiętała mnie, lecz na cóż się już wtedy przydał mój niewczesny żal, moja rozpacz, moja obawa o karę? Król geniuszów zjawił się właśnie w tej chwili, gdy wszyscy byli zebrani, by uczestniczyć w królewskim pogrzebie. Na jego widok rzuciłyśmy się obie z córką, poczuwając się do ciężkiej winy, do stóp srogiego władzcy.

— Nie ma dla Was łaski — zawołał on wtedy gromkim głosem.

— W państwie geniuszów znamy tylko poddanie się przeznaczeniu i nieuniknionemu losowi.

— Następnie straszną rzucił klątwę na nas, na cały kraj i na jego mieszkańców. Ja, stara Walterowa, muszę w tych łachmanach bez chwilki odpoczynku chodzić po całym kraju; moja córka Hermina siedzi w starym zamku leśnym prując swe suknie i zszywając je napowrót za karę, że przez całą swoją młodość zajęta była tylko strojami. Oprócz tego dotknęła ją jeszcze ta klątwa, że gdy nadejdzie czas wybawienia, musi zostać żoną krawca. Lecz niestety! Już dwieście lat czekamy napróżno, a nikt nie zjawił się, coby nas chciał lub mógł wybawić i tylko los wie, kiedy i czy wogóle chwila wybawienia nadejdzie.

— Ależ — zapytał Fryc — czyż nie można uczynić coś takiego, coby to wybawienie przyspieszyło?

— Owszem — odpowiedziała Walterowa. — Jeżeli się znajdzie taki prawdomowny i dobry człowiek, któryby mi z czystej litości i wdzięczności chciał dać suknią, w którejbym się bez wstydu na weselu mej córki pokazać mogła. W ciągu lat niejednemu już wyświadczyłam różne dobrodziejstwa i dobrych udzielałam rad lecz niestety trafiłam zawsze albo na niewdzięcznika, lub też na kłamcę i obłudnika i tak z wybawienia nic być nie mogło. Teraz wychowałam sobie znowu jednego wybawcę prawie od dzieciństwa i w nim tylko jednym pokładam wszelką nadzieję. Dotychczas jeszcze nie popełnił kłamstwa, jakkolwiek był już tego blizkim, nie jest także oszustem i — co widzę? Oho, córka geniusza widzi i ukryte rzeczy. Otwórz, rozwiąż tylko twój tłumoczek. Tę niebieską suknią nie dla kogo innego tylko dla biednej Walterowej zrobiłeś. Otwierajże prędzej twój tłumok — dawajże ją — dawaj!

— Tak, tak! Będziecie ją mieli. Ja ją dla Was już dawno noszę ze sobą — odparł Fryc i począł rozpinać rzemiki węzełka. Gdy w końcu wyciągnął suknią i dał ją starej, zaczęła się śmiać i klaskać w ręce z radości:

— Aj, jakaż wspaniała! Mogę ją śmiało włożyć, gdy moja córka będzie z tobą obchodzić swoje wesele!

— Ej, nie mówcie o tem — odparł Fryc — wasza córka nie zechce przecież mając już dwieście lat, wychodzić za ośmnastoletniego młodzieńca. To tylko żarty!

— No, no, nie bój się, odrzekła staruszka z uśmiechem, istoty z państwa geniuszów wcale się nie starzeją. — Równocześnie ukryła nową swą suknią pod mantylką i poklepawszy go łagodnie po ramieniu rzekła:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Wawrzeniec.

Siadajcie gospodaze, — ja zwycaje stare
Zachowując, jako wej stryj pana młodego
Na miejscu ojca zmarłego
Moje błogosławieństwo kładąc im na głowę,
Taką do nich cynię mowę:
Zyjcie swobodnie, — mnózcie się płodnie,
Obyście wase widzieli prawnuki,
Obyście od dzisiejsej psewrotnej nauki
Dalecy — poćciwe z was mogli wydać plemię.
Uprawiajcie w pocie coła wasą ziemię,
Ona jest matką wasą, ona was wyzywi;
Nie bądźcie z nikim fałsywi,
Kochajcie zawse bliźniego,
Nie odpychajcie od dzwi ubogiego.
Podzielcie się chudobą z potsebnym sąsiadem,
I zyjcie dobrych ludzi psykładem.
Nic wam więcej nie zycę — a teraz wy chłopcy,
I wy starsi parobcy,
Stawcie się w psemian z dziewcęty,
I zaśpiewajcie hymn małzeństwa święty.
Nasa Pani Bartkowa, jako gospodyni.
Tę nam łaskę ucyni,
Ze włozy pannie młodej na głowę wionecek,
A wy druchny rozpuśćcie jej warkoce.
Ty panie młody za mną, w weselny tanecek,
Ja zacnę, zaśpiewajcie, niechaj se wyskocę.

(Bartłomiej, Dorota, Organista i kilku starych gospodarzy siadają po prawej stronie, — chłopcy i dziewczęta śpiewają na przemiany; podczas zwrotki dziewcząt chłopcy smutni, po skończonej podskakują na miejscu, śpiewają, tańcują, Jonek z panną młodą a Paweł z Basią).

HYMN WESELNY.

Dziewczęta.

Zosiu, ach! jus cię traciemy,
Jutro cię panią ujzemy,
Zblednie kolor twój rumiany,
Stracis wianecek ruciany.

Chłopcy.

Nie uwazaj miła Zosiu, lepsy chłopak świezy.
Nis kwiatecek w pustem polu, co odłogiem lezy,
I wianecek kiedy zwiędnie, nic nie będzie płacić,
A wy, co go załujecie, radybyście stracić.

Dziewczęta.

Jus matuchnę swą stradałaś,
Jus do obcych się wybrałaś,
Jus nie ujzys swej dziedziny,
Gdzie słodkie zyłaś godziny.

Chłopcy.

Skowronecek pod kamykiem, łabędź wedle wody,
A słowicek w chłodnym gaju, uzywa swobody,
Tak tes dziewce w domu męza, znajdzie dobre mienie,
Bo tak wejcie psykazało, mądre psyrodzenie.

(Tańcują).

Dziewczęta.

Dotąd nie znałaś zgryzoty,
Teras poznas co kłopoty,

Nie będzies mogła tańcować,
Bo musis na chleb pracować.

Chłopcy.

Wsakci kazdy człowiek w zyciu stwozony do pracy
A ci co nam chleb zjadają, są istni prózniacy,
I wy dziewki co w panieństwie swoje troski macie
Lec w małzeństwie są roskose, których wy nie znacie.

(Tańcują).

Dziewczęta.

Psyjdzie jesce kłopot taki,
Kiedy cię obsiędą dziatki,
Natencas będzies slochała,
Ześ się panną nie została.

Chłopcy.

Chmiel się ksewi, jabłoń rodzi i gniezdzą się ptaki
By się wsytko nie mnozyło, nie byłby świat taki,
Nikcemne są takie dziewki, djabła niewartają,
Co się same tylko włócą, a mężów nie znają.

(Tańcują).

Wawrzeniec.

Dosyć już tego chłopcy, łepskoście śpiewali,
I my tes nie najgozej Zośkę wyhasali;
A wy druchny składniście tes nad nią płakały,
Choć to takiego płacu i wy byście chciały.
Teraz pódźwa do karcmy, jak śniadanie zjemy,
To się wej Panie Bartku z sobą rozmówiemy.

Miechodmuch.

Bo mamy coś powiedzieć, dla dobra waszego.

Jonek.

Dalej duda, zagraj nam marsa wesołego,
Pódźwa.

(Marsz, wszyscy wychodzą parami).

Wawrzeniec *(do Stacha).*

Ty pilnuj dobze i Bartka i zony,
Nalewaj im gozałki miodem zaprawionej,
Wsak wies, ze my, podobnie tak, jak panowie
Najlepiej sprawę końcem, kiedy szumno głowie.
A jak się jus zachłysną, w tem zacnij pomału
Prosić o łaskę dla się, pewnie o Góralu
Zapomną.

Stach.

Ale ojce spieście się, jak mozna,
Bo, jak Bryndus psypłynie, to jus będzie prózna.

Wawrzeniec.

O! ani za godzinę jesce tu nie staną.
Wysiedli pod kościołem snać na msą śpiewaną.
Mamy jesce dość casu.

(Idzie do karczmy).

Stach.

Idźmy tatuleńku,

(chce iść, ale Dorota zatrzymuje go, która się była schowała za chałupę).

Dorota.

Ach! zacekajcie na mnie, zacekaj Stasieńku
Pójdź tutaj na ustronie, bo tam z karcmy widno.

Stach.

Cegós chcecie młynarko?

Dorota.

Pocies ty mnie biedną,
Pocałuj mnie choćby ras!

(Chwyta go za szyję).

Stach.

Ej! cy tes to licho,
Dajcie pokój, bo będę wzescał.

Dorota *(zatykając mu usta).*

Ale cicho,
Bo stary wej usłysy.

Stach.

Niech słysy.

Dorota.

Choć ksynę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)